

SZKOŁA Z WIDOKIEM NA GÓRY

JAN OWCZAREK

Wczesnowiosenne słońce wpadało radośnie do klasy, łaskocząc i wabiąc uczniów, by zainteresowali się raczej jego zwycięskim pokonywaniem śnieżnej zimy niż jakimś trójkątem Pitagorasa czy prawem Pascala. Ciężki wysiłek naszych nauczycielek rozrzedzał się w klimacie niecierpliwego oczekiwania na przerwę, unieszkodliwiany przez bierny opór młodych umysłów zaprogramowanych właśnie na czerpanie radości z nadchodzącej wiosny. Wreszcie upragnione intensywnie brzmiące dryndolenie dzwonka i większość dziatwy wylatywała z rumorem na szkolne boisko. Jeden Justyn, syn inżyniera, przyszły lekarz wykazywał opanowanie w tej rozgorączkowanej chwili i umiał pogodzić dziecięcy entuzjazm z systematyczną konsekwencją właściwą raczej dorosłym. Z przerwy znacznie trudniejsze były powroty. Ziajani, zbiegani stawialiśmy się na kolejne lekcje. Jednak żelazne reguły szkolnej edukacji formowały nas powoli ale nieubłaganie, by wreszcie po ukończeniu ósmej klasy uczynić z nas absolwentów i jednocześnie kandydatów do dalszej nauki w szkołach średnich i zawodowych.

Szkola, do której zacząłem uczęszczać w 1968 roku po dwóch latach uczenia się w małej szkółce w pobliskiej górskiej wiosce wydawała mi się ogromna. Już nazwa – Szkoła Podstawowa nr 3 w Cieplicach Śląskich Zdroju – robiła wrażenie, a potęgowały je cztery kondygnacje szkolnego budynku, ogromna (jak się wydawało) sala gimnastyczna, liczne klasy i srogie, na szczęście nie zawsze, miny nauczycieli. Wszyscy już się w klasie znali. Ja byłem nowy, choć już w wakacje tu i ówdzie pozawiażywałem podwórkowe znajomości i przyjaźnie. Moją wychowawczynią była pani Bomba (nomen omen), kobieta w takim charakterystycznym koku, solidna nauczycielka, ale jak samo nazwisko mówiło, wybuchająca od czasu do czasu nieoczekiwanie. Klasa nasza na pierwszym piętrze pachniała plasteliną, kredkami, papierem zeszytów i książek, oddechami dzieci. To taki nie do podrobienia zapach „podstawówki”. Utrwalił mi się wiele lat później, gdy jako student polonistyki bywałem na zajęciach praktycznych w wielu szkołach podstawowych Wrocławia, na praktyce we wrocławskiej „71-ce” (róg Kołłątaja i Podwala), wreszcie jako nauczyciel Szkoły Podstawowej nr 1 w Piechowicach, dyrektor Szkoły Podstawowej w Jagniątkowie (formalnie SP nr 4 w Piechowicach) czy wizytator Kuratorium Oświaty (miałem rejon w obecnym powiecie lwóweckim).

Z trzeciej klasy jednak niewiele pamiętam sytuacji. Ważnym dla mnie wydarzeniem, można rzec awansem, była zgoda pani Bombowej (w takim brzmieniu też ciekawie, prawda ?) na pisanie w zeszycie długopisem. Od tej pory, porzuciwszy pióro maczane w kałamarzu, zwane „drapaką”, piszę niemal wyłącznie długopisem, najczęściej bezpretensjonalnym i tanim (do pióra, nawet zacnego parkera, jakoś się nie przekonałem). Swoją drogą, co warte

podkreślenia, wychowawczynią i pierwszą polonistką wielkiego i ukochanego przeze mnie polskiego poety Zbigniewa Herberta w przedwojennym Lwowie, gdzie uczęszczał do szkoły powszechnej a później do gimnazjum, też była pani Bombowa.

W czwartej klasie otrzymaliśmy nową panią. Młodziutką i bardzo ładną. Była to jej pierwsza praca w szkole, pierwsza jej własna klasa, toteż pani z wielkim zapałem przystąpiła do pracy z nami (ileż młody człowiek ma pięknej motywacji, chciałby góry przenosić, wiem coś o tym). Wówczas nazywała się Anna Kaszycka, a jej tato miał być profesorem w którejś ze szkół średnich Jeleniej Góry. Nasza pani później została nauczycielką (znakomitą) fizyki, a później wizytatorką - metodyczką w tak zwanym ODeeNie (Oddziale Doskonalenia Nauczycieli). Pamiętam wspaniały kulgig, który nam urządziła wraz ze swoim narzeczonym panem Zawitą i z pomocą rodziców. Jechaliśmy z Cieplic, z pobliza „Korony”, od gospodarstwa pana Horaka (obecnie jest na tym miejscu dyskont „Biedronka”) do Staniszowa (popas w restauracji „Szarotka”) i z powrotem. Ileż było uciechy na polnej śniegu nieuczęszczanej przez samochody polnej wówczas drodze.

Pani Kaszycka wymyśliła konkurs literacki pod nazwą „Złote Pióro”. Co miesiąc pisaliśmy opowiadanie, które następnie było oceniane przez panią. Najczęściej wygrywał Piotr. Trzy małe „Złote Pióra” zamieniały się w jedno Duże Złote Pióro. Dwa razy tylko wygrałem małe Złote Pióro, a Piotr został laureatem prestiżowej nagrody czyli Dużego Złotego Pióra. Okazało się jednak – po czasie – że jego opowiadania (przynajmniej jedno) nie były jego własnością intelektualną. Pani odkryła bezczelnie zerżnięty z opowiadań i nowel dziecięcych tekst. Ta klasowa afera położyła kres pięknie rozwijającemu się konkursowi literackiemu.

Nieoficjalną klasową fascynacją chłopców były znaczki. Znosiliśmy je do szkoły i na przerwach oglądaliśmy zbiory, wymienialiśmy poszczególne jednostki, by z dumą zobaczyć powiększającą się serię motyli, gadów czy sportów zimowych. Szczególnie celował w tym hobby Jasiu, mój imiennik mieszkający na drugim końcu miasta i codziennie wędrujący trzy kilometry za szkolne zajęcia i z powrotem. Poza znaczkami zbieraliśmy fototy z „Płomyczka” z bohaterami „Czterech pancernych i psa”, bowiem wówczas w telewizji emitowano serial o dzielnych czołgistach i wszyscy namiętnie go oglądali, mimo że telewizorów nie było jeszcze we wszystkich domach. Krótkotrwałe zbieractwo dotyczyło starych poniemieckich, często zaśniedziałych monet i banknotów, znajdujących tu i ówdzie, a czasem wygrzebywanych podczas zabawy z ziemi, widokówek (zachowało się u mnie kilka z tamtego czasu), etykiet zapalczanych, kolorowych szpilek wpinanych z fasonem w klapę granatowego mundurka.

Osobnym zjawiskiem było tak zwane tiki – tiki. Na przerwach, a czasem w trakcie odbywających się lekcji dawało się słyszeć klekot uwiązanych na sznurkach plastikowych gałek wprawionych umiejętnie przez mistrzów tiki-tiki w ruch. Rekwirowanie tych przedmiotów przez nauczycieli dawało nikłe rezultaty, bo tiki –tiki wciąż dumnie rozlegało się na szkolnych korytarzach.

W piątej klasie otrzymaliśmy nową wychowawczynię i inną salę lekcyjną. Odtąd już do końca „podstawówki” uczyliśmy się w sali 201 na drugim piętrze, a naszą wychowawczynią została pani Danuta Górską. Jedynie na przedmioty przyrodnicze przenosiliśmy się do właściwych gabinetów z preparatami, mikroskopami, probówkami i palnikami. No i rzecz jasna na wychowanie fizyczne i na tak zwane prace ręczne, bo tak się nazywał przedmiot, na którym cerowaliśmy skarpetki, piekliśmy placki, robiliśmy karmniki dla ptaków i fartuszki do kuchni. Początki tej piątej klasy były ciężkie, zwłaszcza dla nauczycielek. Klasę D zlikwidowano, pewnie z oszczędności, uczniów rozparcelowano do pozostałych klas: A, B, C. W tej klasie D było sporo uczniów drugorocznych, przerośniętych, wielu z Domu Dziecka „Dąbrówka” znanego z uczniów będących postrachem szkoły. Nowi uczniowie, często starsi od trzonu klasy, stali sobie z tyłu, siadali na podłodze i chętnie przeszkadzali uniemożliwiając prowadzenie lekcji. Trwało to pewnie ze trzy tygodnie, aż na skutek – jak myślę – monitów znękanych nauczycieli, dyrektor Gruszka (o nim jeszcze będzie) i chyba nie bez odpowiedniej zgody władz miasta Cieplice Śląskie Zdrój przywrócił do istnienia klasę D. Przy okazji jeszcze zdanie o dzieciach z dwóch Domów Dziecka, uczęszczających do naszej szkoły. Do mojej klasy od początku uczęszczali dzieci z Domu Dziecka przy ulicy Sprzymierzonych, niektóre bardzo zdolne, na ogół spokojne i grzeczne. Ale z piętnem różnych niezbyt miłych doświadczeń. Nie odróżniały się jednak od reszty niczym, tym bardziej, że zdecydowana większość z nas pochodziła z niezamożnych robotniczych rodzin. Zawiały się przyjaźnie, pojawiały się konflikty, jak to w klasie. Natomiast uczniowie będący podopiecznymi Domu Dziecka „Dąbrówka” to często byli repetcenci, więksi i silniejsi od pozostałych uczniów, działający zespołowo i nikt z nas nie chciał im wchodzić w drogę. Chyba też i nasi nauczyciele nie byli szczęśliwi. Niemniej jednak w ósmej klasie poznałem Ryśka, który doszedł do nas w ostatnim roku nauki, a był mieszkańcem „Dąbrówki”. Znajomość, a potem przyjaźń z nim przetrwała wiele lat. Rysiek okazał się mądrym, praktycznym chłopakiem, o jasno wytyczonych życiowych celach, odpowiedzialnym i sumiennym. Jego pasją było harcerstwo, w które i mnie na jakiś czas wciągnął, ale to już inna historia. Krótko w „Dąbrówce” przebywał też Zdzicho, jeden z moich, nieżyjących już kuzynów.

Legendą naszej szkoły był „Syfon”. Nazywał się Stanisław Mikołajczyk i był nauczycielem historii. W charakterystycznym kremowym płaszczu, z czarnym beretem na głowie i nieco podniszczoną brązową teczką codziennie podążał z okolic ulicy Grunwaldzkiej (dzisiaj Łabskiej) w stronę szkoły. Spotykałem go po drodze i często szliśmy razem dyskutując o historii. Nauczał solidnie. Wszyscy wiedzieli, że pierwsza otrzymana u niego ocena będzie już na stałe. Stawała się kategorią ucznia. Ja złapałem czwórkę i tę czwórkę dodzwigałem do ósmej klasy (na koniec otrzymałem honorową piątkę), choć przecież „Syfon” o moich zainteresowaniach historią i archeologią wiedział, bo przecież jego próby założenia kółka historycznego kończyły się na tym, że przychodziłem ja i nikt więcej. Z rzutnika oglądałem jakieś starożytne budowle i potem krótko o nich mówiliśmy. Kółko historycznego stworzyć się nie udało, ale moje zainteresowanie historią udało się panu Mikołajczykowi pogłębić. Jego ksywa wzięła się z tego, że miał nos jak sienkiewiczowski Charłamp albo mówiąc obrazowo jak klamka od zakrystii. A w tamtych czasach w sklepach można było kupić „syfon” czyli gazowaną wodę w specjalnie skonstruowanych butelkach z rurką i swoistym kranikiem, takim garbatym nosem jako żywo przypominającym nos naszego nauczyciela historii. Przezwise tak przyłgnęło do naszego historyka, że niektórzy rodzice brali je za właściwe nazwisko i nieświadomi swojej pomyłki zwracali się do nauczycieli poszukując pana Syfona, a czasem wręcz do niego samego, czyniąc konfuzję jemu i sobie.

Wychowanie fizyczne czyli wuef mieliśmy z „Rudym” czyli panem Markiem Burzyńskim. Często zwyczajnie kopaliśmy piłkę na naszym wyasfaltowanym szkolnym boisku, ale zdarzały się rundy biegowe i „przełaje”, gdy nasz wuefista na rowerze poganiał nas na polnych i leśnych ścieżkach. To był wycisk najczęściej za jakąś niesubordynację. Na tym samym boisku zimą jeździliśmy na łyżwach, bo wówczas zimy bywały solidne i jak skuto lodem, to trzymało do wiosny, czego dowodzi choćby fakt, że na łyżwach jeździliśmy także po naszej niewielkiej i płytkiej ale o wartkim nurcie rzece Wrzosówce, która przecież dzisiaj zamarza rzadko. Na boisku szkolnym ćwiczyliśmy też musztrę na lekcjach przysposobienia obronnego pod okiem innego wuefisty, pana Broniszewskiego. Na boisko chłopcy chętnie przybiegali także po lekcjach, by pograć w „nogę”. Ja, jeżeli dałem się namówić, to najczęściej stałem na obronie albo na bramce. Wolałem spacerować po pobliskim lesie, obserwować przyrodę, poznawać okolicę, co zaowocowało w moim życiu pasją krajoznawczą i później przewodnictwem.

Pobliski las był azylem ucieczki dla wagarowiczów, którzy zwabieni wiosną albo przestraszeni lekcjami udawali się do „Szkolnego Lasku”. Lasek był dla wielu uczniów miejscem pierwszych miłosnych uniesień, doświadczeń z papierosami czy tanim winem.

Był też miejscem milicyjnej akcji poszukiwawczej w Dniu Wiosny, gdy wszystkie ósme klasy uciekły z lekcji. Zdenerwowany dyrektor szkoły Jerzy Gruszka pospołu z milicją poszukiwał nas w tradycyjnym mateczniku wagarowiczów, podczas gdy my powędrowaliśmy w przeciwną stronę czyli na Chojnik. Następnego dnia po tej wyprawie odbył się na korytarzu szkolnym apel, na którym pan dyrektor poinformował nas o karze za niesubordynację. Mieliśmy przez najbliższe trzy tygodnie codziennie po godzinie sprzątać Park Norweski. I sprzątaliśmy. Bo z Gruszką nie było żartów. Po szkole chodziły legendy, że w biurku trzyma „czarną lolę” czyli milicyjną pałkę i nikomu się nie uśmiechał osobisty z nią kontakt. Zresztą pewnie to była tylko szkolna pogłoska, bo dyrektor Gruszka był niewątpliwie dobrym pedagogiem i organizatorem. Przeciążona liczbą uczniów szkoła (w pewnym okresie miała ich około 1370) funkcjonowała sprawnie, choć dzieci musiały z uwagi na ograniczenia lokalowe uczęszczać na trzy zmiany. My na przykład w czwartej klasie w niektóre dni lekcje rozpoczynaliśmy o w pół do trzeciej po południu. Z Gruszką nie mieliśmy żadnych lekcji, ale raz przyszedł do nas na zastępstwo, na lekcję języka polskiego. Nasze głośne czytanie tekstu widocznie niezbyt mu się podobało, bo postanowił pokazać nam wzorcową wersję czytania. Wydała nam się owa recytacja dość ekscentryczna, z dziwnymi pauzami, akcentami i intonacją, ale cóż, dyrektor wie lepiej. Kierowanie naszą placówką pan Gruszka zakończył w roku, gdy otrzymaliśmy świadectwa ukończenia szkoły podstawowej. Trafił, zdaje się, do aparatu partyjnego jako lektor Komitetu Miejskiego a później Wojewódzkiego PZPR, bo z wykształcenia był historykiem. Miałem się po latach znów z nim zetknąć jako nauczyciel liceum. Wielokrotnie prowadziliśmy dyskusje na temat historii, którą on interpretował zupełnie inaczej niż ja, choć zawsze okazywaliśmy sobie szacunek. Pamiętam, jak kiedyś profesor Gruszka, z którym zdarzyło mi się wspólnie prowadzić fakultet humanistyczny w jednej z klas (ja miałem literaturę, on historię), przyniósł odręcznie wykonaną mapkę pretensji terytorialnych naszych sąsiadów, z której wynikało, że nam pozostało tylko Kieleckie i kawałek Lubelszczyzny. Na to ja za tydzień przyniosłem narysowaną szkicowo mapkę z naszymi roszczeniami, na której granice Polski sięgały od Łaby po Morze Czarne i od Szumawy po Zatokę Ryską. Takie to były zabawy i spory w one lata...Jerzy Gruszka po przemianach roku osiemdziesiątego dziewiątego pozostał wierny swoim poglądom i nie nosił feretronu za księdzem proboszczem, jak to w okresie przesilenia wielu wystraszonych partyjniaków czyniło z czysto koniunkturalnych względów. To świadectwo uczciwości tego człowieka, który zapisał się w mojej pamięci jako surowy i konsekwentny pan dyrektor, a później nauczyciel – pasjonat i mądry starszy kolega z pracy. Spotykamy się z rzadka na oficjalnych szkolnych uroczystościach, by przy okazji wymienić parę uwag na różne, na ogół szkolne tematy.

W czasach mojego uczęszczania do „Trójki” swoistą „legendą” szkoły był pan Perl, nauczyciel muzyki, opiekun Chóru Szkolnego, z którym zdobywał sporo laurów. Nas uczył może rok, natomiast w ósmej klasie był naszym muzykiem Władysław Zjawin. „Władek” bardziej oscylował w stronę wuefu, ale widocznie pewna wyniesiona ze szkoły muzycznej i może z domu znajomość gdy na pianinie spowodowała, że nauczał nas różnych pieśni. Ze mnie niemal nie zrobił gwiazdy na miarę gwiazd peerelowskiego Festiwalu w Kołobrzegu, bo wziąłem udział w Konkursie Piosenki Żołnierskiej i zająłem zaszczytne drugie miejsce. Młody i życzliwy, charakterystycznie wymawiał „r”. Bardzo go, pamiętam, lubiliśmy.

Od siódmej klasy ugruntowywałem się w przekonaniu, że zostanę przyrodnikiem. Moje fascynacje przyrodnicze zaowocowały znakomitymi ocenami z biologii, której porządnie uczyła pani Jadwiga Gondek, później przez młodzież licealną – bo przeszła do cieplickiego ogólniaka – nazywana „Samantą” od jej obfitego biustu. Zapisalem się w siódmej klasie do Kółka Biologicznego, na spotkaniach którego zajmowaliśmy się rybkami. Mnie oprócz rybek zajmowała także Jola z młodszej o rok klasy, szatynka o wyrazistej urodzie i ujmującym uśmiechu. Adorowałem ją i towarzyszyłem jej czasem także podczas przerw. Duże zainteresowanie wzbudzała też we mnie Janeczka z mojej klasy, ładniutka i mądra czarnulka, Greczynka z pochodzenia. Trochę się w niej podkochiwałem.

W pamięci pozostają szkolne przyjaźnie: Rysiek i Piotrek. Z Ryśkiem zaprzyjaźniłem się w szóstej klasie. Wspólnie wędrowaliśmy na bliższe wycieczki po lesie, jeździliśmy na poniemieckich „nansenowskich” nartach po okolicznych wzgórzach, graliśmy w piłkę na łące, wypiliśmy pierwsze w życiu wino. Z Piotrkim, synem majstra z „Fampy”, chłopakiem ambitnym i zdolnym, ustaliliśmy zasady fair play rywalizacji szkolnej w nauce, co było świetnym pomysłem, który pozwolił nam obu osiągnąć bardzo dobre wyniki w klasie i w szkole. Z Piotrkim też tworzyliśmy taki quasi – dziennikarski tandem, robiąc wywiady z kierownikami cieplickich zakładów pracy, a wyniki naszych reporterskich wypraw przedstawialiśmy na lekcjach pani Malinowskiej, nauczycielce wychowania obywatelskiego (oraz języka rosyjskiego). Nie mógłbym nie wspomnieć też o Marianie, „Koli”, który dotarł do nas w szóstej klasie. Niezwykle plastycznie uzdolniony „Kola” ciągle podpadał nauczycielom swoim niebanalnym zachowaniem. I nie miał zbyt dobrych ocen. A szkoda. Bo w moim odczuciu to plastyczny geniusz - samouk, mający setki różnych – czasem trochę dzikich - pomysłów, a jeśli chodzi o rysunek czy rzeźbę był świetny. Trafił do zawodówki w „Rzemiosłach” i gdyby udało się komuś chłopakiem mądrze pokierować, byłby pewnie znanym artystą. Niestety, w naszych robotniczych domach na ogół nie było takich ambicji. Dobrze jak ktoś skończył technikum.

W przedostatnim roku mojego pobytu w „Trójce” szkole nadano imię Mikołaja Kopernika. Z tego powodu ogłoszony został Konkurs wiedzy o wielkim polskim astronomie, zorganizowany przez szkolną bibliotekę. Zająłem w nim trzecie miejsce. Nasza biblioteka była dobrze zorganizowana, miała spory i ciekawy księgozbiór. Jej szefową była pani Kudraszew, która później – zdaje się – była wizytatorką szkolnych bibliotek. Pamiętam scenę - a było to na zakończenie ósmej klasy siedzieliśmy z jakiegoś powodu w czytelni podczas pożegnania z naszą wychowawczynią - gdy jej syn Wojtek, taki klasowy intelektualista w okularach, noszący ksywę „Bagatela”, kolebiąc się, spowodował pochylenie się półek i wysypanie się stojącego na nich księgozbioru na niego. Był to – poza grozą tej akcji - genialny widok. „Bagatela” wystawał z piramidy książek wodząc po nas przez swoje okulary zdziwionym i trochę wystraszonym wzrokiem. Bibliotekę lubiłem, bo spędziłem w niej sześć lat jako bibliotekarz klasowy, co w sumie czyniło sporo godzin spędzonych wśród książek. Ale chyba dobrze służyło mojej edukacji.

Już w szkole podstawowej dużo czytałem, próbowałem pisać. Polonistka i moja wychowawczyni, pani Górską, była ze mnie zadowolona. I wyraziła głośno nadzieję, że zostanę polonistą, choć ja w duchu marzyłem inaczej (archeologia, historia, później biologia). Okazało się, że intuicja jej nie zawiodła. To ona miała rację. Pani Danuta ciekawie prowadziła zajęcia, mimo że praca polonisty to ciężki chleb, a etatowych godzin było w tamtym czasie dużo, zaglądała do każdego zeszytu często, poprawiała nasze nieudolne konstrukcje, błędy ortograficzne i interpunkcyjne. Na jedynym zachowanym przeze mnie szkolnym zdjęciu stoi pośród nas siedzących w granatowych mundurkach w jej gabinecie klasowym.

Góry za oknami szkolnych klas hipnotyzowały mnie swoją nieujarzmioną urodą i mocą. Lśnił śniegiem, gdy tu już zielono tańczyła się wiosna kobiercem łąk i zielonych zagajników, potężny maszyn Smogorni, a za nią jeszcze wyższa, choć z tej perspektywy nie sprawiała takiego wrażenia, Śnieżka. Tęskniąc do gór, w wyobraźni wędrowałem po szczytach Karkonoszy, co spełniło się z nawiązką w latach późniejszych. Góry ofiarowały mi swoje piękne krajobrazy, nieopisane wrażenia i doznania, a także, mówiąc mniej górnolotnie – pieniądze, gdyż zostałem przewodnikiem górskim. I gdy to teraz piszę, uświadamiam sobie, jak wiele moja dzisiejsza sytuacja ma wspólnego z tamtym odległym, pięknym czasem, gdy uczęszczałem do „Trójki”, nowoczesnej naówczas cieplickiej „tysiąclatki”.